ROK CZWARTY.

—

№ 38.

WARSZAWA

D. (6) 18 września

1859.

Niedziela

14ta po Świątkach.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie; lecz podług nowych przepisów, w jednej kopercie jeden tylko egzemplarz Czytelni, tak jak każdego pisma peryodycznego, przesyłany być może.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prosimy Cię Panie, racz ochraniać ustawicznem miłosierdziem twój kościół; a ponieważ bez Ciebie ludzka śmiertelność na każdym kroku upada, więc Twą pomocą szkodliwe rzeczy oddzielaj, a do zbawiennych doprowadzaj. (Kollekta na Niedzielę 14tą po Świątkach).

Na uroczystość Matki-Boskiéj.

—

Chcecież znać bracia moi, co świętość i cnota,
Znać, co to żyć posiłkiem duchowego chleba,
I po cierniem zasłanej drożynie żywota
Pewnym i śmiałym krokiem podążać do nieba?
Patrzcie w Tę, co ją kościół zwie Gwiazdą zaranną,
Jak cicha, korna sercem wytrwała w zakonie,
Służąc Bogu na ziemi pracą bezustanną,
Dziś zawładła nad nami w niebieskiej koronie.
Lecz nim przeszła radosna do wieczystej chwały,
Ileż doznać musiała trudów i mozołu,
Ileż krwawo pracując przez bieg życia cały,
Wylała łez i potu wśród tego padołu!
Po najpierwszej radości u Dzieciątka żłobu,
Razem z niem ujść musiała do Egipskiej ziemi,
A potem z mieczem bólów u Chrystusa grobu
Opłakać Jego rany łzy macierzyńskiemi.
Dziś w chwale wiekuistej wzniesiona nad ziemię,
Pomna słów przed skonaniem wyrzeczonych Pana,
Modlitwą swą w potrzebach wspiera ludzkie plemię,
Będąc nam tkliwą matką, jak niegdyś dla Jana.
O! śpieszmy do niej chętnie, śpieszmy duchem wiary,
Ukochawszy Ją czuciem dziecięcej prostoty;
Na Jej łonie składajmy żywota ciężary,
Z Nią w boleściach stawajmy pod krzyżem Golgoty.
I oto z tronu chwały święta Matka nasza
Świecąc nam tu na ziemi pamiętnym przykładem,
Boskim głosem religii w niebo nas zaprasza,
Własną stopą przebytym twardym życia śladem.
A więc niepomni odtąd na trud i cierpienia,

Wniebowziętej Maryi ukochane dziatki,
Prawą drogą miłości, drogą poświęcenia
Śpieszmy do naszej świętej, ukochanej Matki,
A hodując myśl cnoty zbawiennie poczętą,
Pragnąc zbliżyć się duchem do światłości sy-
nów,
Wielbijmy całe życie Marję wniebowziętą
Najmilszym dla Niej hymnem, pieśnią dobrych
czynów.

Palec Boży.

—

Byłoto w czasie uroczystego święta Bożego-Ciała, we wsi o parę mil od Warszawy leżącej. Dzwony pobliskiego kościoła uroczystym głosem wezwały mieszkańców na poobiednie nabożeństwo; poczciwy ludek wiejski przybrany w świąteczne suknie tłumnie wysypał się z chatek, pozostawiwszy w nich dzieci i stare niewiasty na straży domowego gospodarstwa. Cała wieś przedstawiała obraz błogiego pokoju; jedna tylko chata tuż obok młyna stojąca, stanowiła dziwną sprzeczność z tym pięknym obrazem prawdziwego szczęścia. Chociaż czysta jej powierzchowność, jasne szyby błyszczące w oknach, oraz spory sad wysokim ogrodzony płotem świadczyły jawnie o zamożności jej mieszkańców, w chwili, gdy do nich wprowadzamy czytelnika, następująca w niej odbywała się scena. Tuż przy drzwiach stała z dzieckiem na ręku młoda kobieta, wystrojona w korale i różnobarwne wstęgi, a naprzeciw niej zgarbiona i wynędzniała staruszka w pełnej smutku i pognębienia postawie.

— No! odezwała się, kończąc zaczętą rozmowę młoda wieśniaczka, przestańcież już raz przecie szlochać matulu, a weźcie sobie dziecko ode mnie, bo mu się oczęta kleją i mnie się śpieszy... już i tak dawno na nieszpory przedzwonili.

— Moja droga, jedyna Magdusiu, przemówiła, prosząc staruszka, zostaw tym razem dziecko przy komornicy, a mnie pozwól choć raz przy tak wielkiém święcie pójść do kościoła, boć w chałupie przy ciągłej pracy i hałasie nie mam nawet spokojnego kąta do zmówienia pacierza.

— Albo to ja was nie żywię i nie odziewam, żebyście mi mieli waszą robotę wymawiać? No patrzajcie! i myślałby kto, że to się tak bardzo śpieszy do kościoła, a to, aby tylko z kumoszkami gdzie na drodze pogawędzić. Ale nic z tego nie będzie; ja teraz pani w chałupie i jak ja chcę, tak być musi, dodała, przytupując nogą swoim ostatnim wyrazom.

Biedna matka zagłuszona krzykiem bezbożnej córki w milczeniu skłoniła siwą głowę, a tuląc do piersi, po jej odejściu płaczącą dziecinę, wyrzekła drżącym głosem: śpij, śpij wnuczko moja, a chowaj się zdrowo i ładnie, aby tylko Bóg nie zechciał twoją ręką zapłacić twej matuli ciężkiej krzywdy mojej. O mój Boże! mój Boże, na tożem całe życie poczciwie pracowała, aby na stare lata doznawać takiej poniewierki od jedynej córki, którą z takim trudem wychowałam? Resztę słów staruszki przytłumiło gorzkie szlochanie, a w jej przygasłych oczach wzniesionych ku niebu widzieć można było serdeczną prośbę do opiekuna uciśnionych o położenie końca tak ciężkiemu życiu. Jakoż była ona słusznym przedmiotem politowania całej wioski; Goduchowa bowiem młoda wieśniaczka, którąśmy wyżej poznali, wydarłszy matce do ostatka całe jej mienie, wypłacała się jej krzywdzącem i złem obchodzeniem się wraz ze swym mężem zamożnym młynarzem, który przez nadzwyczajną słabość charakteru dzielił pomimo woli postępowanie żony. Wkrótce też Bóg wejrzawszy na ucisk nieszczęśliwej kobiety, uwolnił ją od smutnego ciężaru życia, właśnie tego samego dnia, w którym korzystając z wyjazdu córki i zięcia na jarmark, po szczerze odbytej spowiedzi wróciła z kościoła dla przygotowania posiłku domowej czeladzi. Goduchowa dowiedziawszy się o tym smutnym wypadku, uczuła zrazu ciężkie zgryzoty sumienia; długi czas nie mogła sypiać po nocach, z zabobonnej obawy, aby dusza staruszki nie nawidziła ją z tamtego świata, dopominając się praw swoich tak ciężko w życiu znieważonych. Ale młynarka nasza wśród prac gospodarskich przeplatanych często wesołemi zabawami niedługo zupełnie zapomniała o matce. W lat też kilka po śmierci biednej staruszki, Goduch skaleczywszy się niebezpiecznie przy reperacyi młyna, umarł po krótkiej chorobie, pozostawiając żonę w posiadaniu dość znacznego majątku, z jedyną już córeczką, liczącą lat

dziesięć. Lecz Goduchowa zostawszy samowładną panią całego gospodarstwa, poczuła wkrótce, iż to był ciężar zbyt wielki na jej kobiece barki, i za namową jednego z dawnych znajomych nieboszczyka męża, ze znacznym zyskiem spieniężywszy całą posiadłość, wyjechała do kilka mil ztamtąd odległej Warszawy, gdzie przy jednej z mniejszych ulic założyła sklepik z wiktuałami. Doznając dość pomyślnego powodzenia w nowym swoim zawodzie, Goduchowa nie szczędziła wydatków dla dania swojej Basi wychowania zupełnie odmiennego od tego, jakie sama odebrała w dzieciństwie, oraz zaspokojenia wszelkich zachceń i zbytków rojących się w głowie dziewczęcia. Lecz jak to zwykle bywa, Basia zepsuta pieszczotami matki, mając przy tem w naturze swojej zaród uporu i nieposłuszeństwa, nie zbyt zasmakowała w zajęciach szkolnych i pomimo przyrodzonej bystrości, zaledwie nauczywszy się jakotako czytać i słabo pisać, wróciła do matki, wyrozumowawszy sobie, że przy majątku bez nauki obejść się można. Wkrótce jednak okoliczności się zmieniły: dom, w którym mieszkała Goduchowa, uległ pożarowi, a wraz z nim znaczniejsza część jej majątku poszła z dymem. Nie wiedząc co począć w tak smutnem położeniu, resztę ocalonego grosza oddała na procent; lecz i tu doznała straty, co ją przywiodło do upadku. Musiała się wynieść z dawnego mieszkania, a nająwszy lichą izdebkę pod strychem, utrzymywać się z prania bielizny, mycia podłóg i tym podobnych robót, do których dzięki wybornemu zdrowiu, dosyć jej jeszcze pozostało siły. Kasia tymczasem od dwóch lat już pracując w magazynie strojów, usilną pracą i zręcznością zapewniła sobie niezłe utrzymanie; lecz zamiast używać zarobionych pieniędzy na ulżenie gorzkiego losu matki, obracała je na stroje i świecidełka, traktując ją najniesumienniej, i jeżeli kiedy wróciwszy wieczór z roboty, zastała mniej starannie wyprasowaną spódniczkę lub modny kołnierzyk, wtedy wymawiała gorzko matce, a Goduchowa wzdychając boleśnie, nie śmiała uskarżać się na niewdzięczne dziecię, gdyż mimowolnie stawała jej na myśli zmarła matka, przygnębiona przez pracę, wybladła od łez wylewanych na jej nieczułość. W ten sposób upłynęło lat kilka, w przeciągu których rumiana twarzyczka Basi zyskała wielbiciela w osobie niejakiego pana Zawiły, oficyalisty prywatnego, który oprócz tego obowiązku trudnił się interesami na swoję rękę. Basia z zapałem przyjęła jego ofiarę, rojąc już zawczasu, jak to ona używać będzie, zostawszy żoną oficyalisty. Biedna matka nie była nawet na ślubie, gdyż wstydzono się prostej wieśniaczki pokazać w towarzystwie kapeluszowych ichmości i ichmościanek; w parę dopiero tygodni, gdy pani Zawilina obejrzawszy się po swoich kątach, poznała, że ją nie stać na przyjęcie służącej, przypomniała sobie niebogę, i zakazawszy, aby przy gościach nie pozwalała sobie żadnej poufałości z córką i zięciem, pozwoliła jej zamieszkać u siebie. Tu dopiero zaczęły się prawdziwe dni męki i utrapienia dla nieszczęsnej Goduchowej; poniewierana i upokarzana bezustannie od córki i zięcia, dręczona wyrzutami sumienia, przywodzącemi jej bezustannie na pamięć postępowanie ze zmarłą matką, nie śmiała nawet odwoływać się do sprawiedliwości Boskiej. Nie wiedziała, jak znaleść ratunek przeciw tak silnym udręczeniom, a zamiast uderzyć się w piersi i we łzach pokuty szukać ulgi strapionemu sercu, powzięła zgubne upodobanie w trunku. Nakoniec dnia pewnego zniknęła bez śladu z domu córki i dopiero w lat parę potem pan Zawiła wyjeżdżając w Płockie za jakimś interesem, dowiedział się w pobliskiej wiosce, że przed tygodniem pogrzebano tam nawpół obłąkaną żebraczkę, co przed śmiercią odzyskawszy przytomność, opowiedziała przygody swoje litościwym ludziom, pod których dachem znalazła przytułek na resztę utrapionego życia. Była to nieszczęsna Goduchowa. Śmierć jej niewielkie uczyniła wrażenie na umyśle pana Zawiły, lecz jego żona, którą do tego czasu trapią rozmaite choroby i nieszczęścia, widzi w tem palec Boży, który do dziesiątego pokolenia nie przestaje wytykać zniewagi wyrządzonej tym, którym winni jesteśmy życie.

ŻYCIORYSY OFICYALISTÓW I SŁUG DWORSKICH.

Kazimierz Pis.

—

Gminny ze wsi Wierzbicy, należącej do dóbr Moniaki, w okręgu Kraśnickim, gubernii

Lubelskiej położonych, liczy wieku lat 46. W pełni sił i życia, już je odznaczył rzadkiemi dowodami przywiązania i poświęcenia dla pana, którego chleb jadł przez lat wiele. Rys żywota poczciwego *Kazia*, jak go w okolicy zwać nawykli, raduje i krzepi serce przekonaniem, iż jeszcze dawne podania o poczciwości i przywiązaniu sług, nie zostały w zupełności w pokoleniu naszem zatarte.

Kazimierz Pis urodził się we wsi Ciotuszy, gdzie rodzice jego zamieszkiwali na roli pańszczyznianej; w 10 roku życia został już sierotą, ale znać zacną i bogobojną miał matkę, kiedy zasady cnót chrześciańskich w tak młodociane w poić umiała serce, że się nietylko silnie w niem zakorzeniły, lecz nadto rozwijając się coraz więcej, tak błogie wydały owoce.

W sieroctwie swojem znalazł Kazimierz przytułek w miejscowym dworze, gdzie pozostawał do 23 roku życia, używany będąc do rozmaitych posług, a najwięcej do koni. Przed 23ma laty zgodził się za karbowego do p. Krajewskiego, owczasowego dzierżawcy Ciotuszy i pełnił obowiązki te przez lat 14, następnie zaś po nabyciu przez tegoż dóbr Ratoszyna, przeniósł się z nim Kazimierz do nowej posiadłości i przesłużył w tych samych obowiązkach jeszcze lat 8, czyli razem lat 22 u jednego i tego samego pana, tojest aż do chwili zwinięcia przezeń gospodarstwa.

Już ta sama długoletność służby wystarczałaby do udowodnienia prawości charakteru Kazimierza, gdyby nie było innych wymowniejszych na jej poparcie dowodów. Zaledwie do męzkich przyszedł lat, już go ciągle widzimy u jednego i tego samego pana, oddającego się z całą gorliwością staraniom o jego dobro, podzielającego złą i dobrą jego dolę, bolejącego nad doświadczonemi przezeń zawodami, w życiu ludzkiem nieuniknionemi; a kiedy wreszcie przyszło do tego, że pan jego w skutek niepowodzeń, jakie go dotknęły, wyzuty został z majątku, poświęcającego ochotnie zapracowany grosz, owoc długoletniej oszczędności, co mu miał zapewnić niezawisły byt na stare lata, na wsparcie podupadłej pańskiej rodziny.

Kiedy w skutek nieprzyjaznych okoliczności Kazimierz nie mógł pozostawać dłużej w obowiązkach u swego ukochanego pana, wtedy nowy zarząd dóbr Ratoszyna pragnąc zapewnić sobie usługi tak pożytecznego i doświadczonej wierności oficyalisty, uczynił mu nader korzystne propozycye, aby go tylko na miejscu zatrzymać; ale Kazimierz poczytując go za nieprzyjazny swemu panu, słuchać ich nawet nie chciał i wszelkie podawane warunki odrzucił. Nie chcąc zaś pozostawać dłużej w okolicy, któraby mu przypominała ciągle upadek rodziny, w usługach której tyle lat strawił, pochwycił skwapliwie nastręczającą mu się sposobność wydalenia się z niej, przyjmując uczynioną mu propozycyę objęcia obowiązków gumiennego we wsi Wierzbicy, które od dnia **1** kwietnia r. z. pełnić zaczął. Wszakże i tu przy zgodzie położył za warunek, że jeżeli p. Krajewski utrzyma się przy Ratoszynie, wolno mu będzie powrócić do niego. Nowy jego pan oceniając szlachetność pobudek, chętnie warunek ten przyjął i tem więcej cenić go zaczął.

Postępek ten zacnego Kazimierza jednając mu powszechny szacunek, odsłania przytem piękną stronę jego duszy. Kiedy po długiej walce z przeciwnościami dla wstrzymania upadku domu, któremu swe usługi przez lat tyle poświęcał, opuścić go jest przymuszony, odwraca się jeszcze za nim z tęsknotą i zapewnić sobie pragnie powrót, w razie, gdyby się ten okazał możliwym. Cześć więc tak zacnemu słudze jak i dobremu panu: pierwszemu, iż w tych czasach tak ubogich w podobne poświęcenia staje się wzorem dla innych, drugiemu, iż postępowaniem swojem umiał podobne wzbudzić przywiązanie.

W nowych obowiązkach odznacza się Kazimierz nietylko szczególną znajomością swojego fachu, lecz nadto godną naśladowania przychylnością dla dworu, wiernością i pilnością. Powierzoną sobie mając kwotę przeszło 8,000 złp. na kupno inwentarza, narzędzi rolniczych i najem robotników, wywiązał się jak najsumienniej z położonego w sobie zaufania i wyrachował się co do grosza, chociaż pisać wcale nie umie. Każda zaś kupiona przezeń sztuka bydła, każdy zrobiony wydatek (są słowa nowego jego pana) dziś jeszcze może być jawnym dowodem jego znajomości, rzetelności i dobrej chęci.

Obecnie mając pod swoim kluczem zboże,

wódkę i inne przedmioty, utrzymuje wszystko we wzorowym porządku. Trunków zupełnie nie używa, trzeźwość więc jego żadnej nie ulega wątpliwości. Niepowstrzymana chęć mówienia każdemu prawdy w oczy i gorliwość w służbie, robi mu wielu niechętnych, ale i ci oddają mu należną sprawiedliwość, nie mogąc go w niczem poszlakować.

Świeżo zaszły wypadek świadczy niemniej o jego roztropności i dobrem sercu. Przez swawolę pastuszek miejscowy wpadł w gorący wywar i poparzył się szkodliwie. Poczciwy Kazimierz przyjmuje go na swoje łóżko, a sam dla braku miejsca wynosi się do stodoły, po udzieleniu mu wprzód koniecznej pomocy, a zastępując jednocześnie nieobecnego dziedzica, wysyła po lekarza i lekarstwa, otaczając największą troskliwością chorego.

Jest również dobrym mężem jak wzorowym gospodarzem, a nadto ściśle przestrzegającym moralności i czystości obyczajów pomiędzy podwładnymi mu ludźmi. Ma jednego syna, którego w dzieciństwie kazał uczyć czytać, obecnie zaś nie chcąc, ażeby się rozpróżniaczył, wysyła go codziennie na zarobek, ażeby przyzwyczajał się do pracy i darmo chleba nie jadł.

Mając pod swoim wyłącznym prawie dozorem folwark Wierzbicę, prowadzi gospodarstwo tak, że zboża są jedne z najpiękniejszych w całej okolicy, a przy tem inwentarz roboczy utrzymany jak najlepiej. Największą wszakże jego zaletą, jest utrzymanie porządku, trzeźwości i pracowitości pomiędzy podwładnymi mu ludźmi, bez zbytniej surowości.

Towarzystwo Rolnicze w Królestwie oceniając dobre przymioty Kazimierza Pisa, jego długoletnią, dobrze poświadczoną, wierną służbę, przychylność i gorliwość, jakich liczne okazał dowody, wynagrodziło go Listem pochwalnym z dodatkiem 15 rubli srebrem.

O Wystawie krajowej Sztuk Pięknych w Warszawie.

—

— Karolu! jutro mamy niedzielę, a w poniedziałek uroczyste święto Wniebowzięcia Matki-Boskiej; pójdziemy więc rankiem do Felixa, zbudzim go, by z nim pogawędzić, o godzinie zaś 7ej zbierzem się razem we trzech i pójdziem do kościoła, a potem do szkoły. Tak zagadnął Franek terminator ślusarski towarzysza swego Karola.

— Dobrze, odpowiedział Karol, do takiego chłopaka, jakim jest Felix, chociaż daleko mieszka, nóg nie pożałujem, bo jest i po co iść; on chociaż tylko o rok starszy od nas, ale daleko rozumniejszy.

— Bo się też lepiej uczy od nas, odrzekł Franek.

Byłoto w sobotę 13 sierpnia r. b. już nad samym wiaczorem, jak dwaj młodzi Karol i Franek trzeci rok pracując razem w jednym warsztacie ślusarskim przy ulicy Krakowskie-Przedmieście w Karasia pałacu, tak rozmawiali, obiecując sobie iż tylko świt w niedzielę, pobiegną zbudzić Felixa, z nim pogawędzą, pójdą razem do szkoły, a potem dużo rzeczy przez dwa święta zobaczą. Skrzętnie więc uwijali się, aby o godzinie 8ej jak zadzwonią na wieczerzę, ukończyć wyznaczoną sobie robotę, umyć się, by po pracy czysto zasiąść do stołu, a skłoniwszy się p. majstrowi i p. majstrowej, pomodlić się i iść na spoczynek.

Karol, Franek i Felix, wszyscy trzej dzieciuchami prawie, gdzieś z dalekich stron i z jednego miejsca dostali się do Warszawy. Karol i Franek poszli do ślusarza, a Felix do stolarza. Mając biedne rodziny wszyscy trzej, nie rachowali na żadną znikąd pomoc, a doszedłszy blisko już lat 18 wieku, czuli, że tylko pracą, dokładnem nauczeniem się rzemiosła mogą zapewnić dla siebie dobry byt i stać się użytecznymi dla innych.

Nazajutrz zaledwie switać zaczynało, porwali się z łóżek i usławszy je jak przystało, umyli się, uczesali, ubrali, a podziękowawszy Bogu za życie, zdrowie i siły do pracy, pobiegli śpiesznie aż na Leszno, za kościół Karmelitów, gdzie Felix terminował.

Nadaremnie się cieszyli, że go niespodzianie zbudzą, bo Felix siedział już nad książkami.

— Jak się masz Felixie, zawołali obadwaj i zaczęli go serdecznie całować; ty już siedzisz, uczysz się?

— Moi drodzy, wszak to już czwarta godzina i dobrze widno, korzystam więc z trzech godzin czasu, zanim pójdę do szkoły. Trzeba

się przez ten czas poduczyć czytać, pisać popolsku, porusku, zrobić jaki rachunek, odrysować co, aby przyszedłszy do szkoły, być przygotowanym i nie dać powodu do gniewu naszym opiekunom i nauczycielom.

— To i my z tobą razem będziemy się uczyć, wszak do jednej szkoły, do jednego oddziału chodzimy. I było przyjemnie spojrzeć, jak trzech chłopaków już dobrych wyrostków, silnych, barczystych, a zręcznych i zwinnych w całej postawie, szczerem sercem i żywo wzięło się wspólnie do nauki; nie zważali oni, że często pióro i ołówek były za lekkie i trudne do utrzymania w ich spracowanych rękach, które grubą skórą okryte i gdzieniegdzie popadane świadczyły, jak Karol i Franek z chęcią imali się młotka i pilnika, a Felix hebla i piłki.

Felix stolarczyk, sprytny nadzwyczaj i pojętny, był pierwszym z uczniów Szkoły Rzemieślniczej, w oddziale 4 w Kazimierowskim pałacu; przytem posłuszny, chętny, usłużny, z dobrem sercem, kochany był naprzód od majstra, czeladzi, potem od swych kolegów i lubiony od nauczycieli; każdej wiec niedzieli, jeżeli który ze współ-uczniów nie mógł sobie w nauce radzić, przychodził do Felixa, aby mu dopomógł.

Karol i Franek w sercu Felixa jako z jednych stron, najpierwsze mieli miejsce; w każdej więc chwili wolnej od pracy i od nauki, nie biegli oni, jak to wielu robi, do szynku na pijatykę, na tańce, na włóczęgę za miasto, ale obchodzili kościoły, przypatrywali się różnym wystawom, to obrazów, to zwierząt i nie tylko błogiego doznawali wypoczynku, ale jeszcze i głowę wzbogacali różnemi wiadomościami.

Już 6 godzina wybijała na zegarze wieżowym kościoła Karmelickiego, a jeszcze Karol, Franek i Felix szczerze pracowali. Karol i Franek rysowali kluczyki, zameczki, zawiaski w różne formy, Felix zaś im pokazywał narysowaną toaletę, którą zamierzał przy wyzwoleniu się na czeladnika jako *majster-sztyk* zrobić; tłumaczył im kwadrat równości, wiązanie boków, układ wewnętrzny rachunkowo rozmierzony, wyżłobienia na zewnątrz i wewnątrz, różne skrytki i ozdoby, mówiąc: jeśli mi się uda wykonać tak, jak mi z rysunku i wyrachowania wypada, i gdy obok tego pozyskam świadectwo, żem w szkole nie próżnował, to mam nadzieję, że od dziś za rok będę czeladnikiem. Czy nieprawda koledzy?

— A wy kiedy? zapytał Felix.

— I my, jeśli się nam powiedzie, to także za rok.

— To więc wszyscy trzej jednego roku! z radością zawołał.

Pamiętajcież, rzekł Felix, być zawsze ze mną razem, uczyć się, pracować i nie bałamucić, a Pan Bóg dopomoże.

— Szósta godzina bije, zawołał Franek, czas do kościoła, a potem do szkoły.

— Chodźmy, powtórzył Karol.

— Jeszcze mamy godzinę, rzekł Felix, pójdziemy sobie pomału, a przez drogę jeszcze pogawędzimy.

I poszli, zastanawiając się po drodze nad każdą nową rzeczą: na co to, do czego, kto to mógł wynaleść? — rozmawiali następnie o zaprowadzeniu szkół Niedzielnych-Rzemieślniczych w Warszawie, których jest pięć:

1. w domu XX. Dominikanów o 3 oddziałach.

2. u XX. Karmelitów na Lesznie o 2 oddziałach.

3. przy ulicy Królewskiej o 2 oddziałach.

4. na Pradze o 1 oddziale, a zaś 5 wyższa w Kazimierowskim pałacn o 4 oddziałach, w których to szkołach uczą religii, czytania i pisania popolsku i porusku, rysunków i rachunkowości, chemii i mechaniki początkowej, i jak powinni korzystać z każdej chwili, aby się czegoś nauczyć.

Rozpowiadali sobie dalej, jak wszyscy trzej mają dobrych majstrów, którzy nietylko że im kupują książki potrzebne do nauki, ale jeszcze w każde święto prawie naglą, aby szli do szkoły i uczyli się, przekładając, że nauka uzacnia człowieka, krzepi siły, daje zdrowie, upiększa myśli do dobrych uczynków, serce uprawia i zdatnych kształci rzemieślników. Jak ci postępują z nimi poojcowsku, nie karzą za byle co, ale uwagami i doświadczoną radą wskazują, co jest złe i jak go strzedz się należy, co jest dobre, i jak je spełniać świętym jest obowiązkiem; dlatego też, rzekł Felix i oni nas lubią i my ich serdecznie jak ojców kochamy.

— Czyście widzieli, zagadnął Franek zeszłej niedzieli, jak to Paweł od majstra szewckiego, albo i Jakób od krawca przed nauczycielami, którzy ich słusznie łajali, że nie mają książek i że się spóźniają do szkoły, przez co niczego się nie nauczą, z płaczem żalili się, że ich panowie majstrowie nietylko przez cały tydzień nieustannie męczą, nie dając wypoczynku, ale nawet prawie zawsze z soboty na niedzielę przez całą noc zmuszają pracować i często do południa jeszcze w samą niedzielę, aby robotę obstalowaną wykończyć; a kiedy my, dodawali, napieramy się do szkoły, to panowie majstrowie krzyczą: Czy to szkoła wam jeść i okrycie daje?.. a kiedy mówimy, że karani jesteśmy za to, iż nie mamy książek, że późno przychodzimy, albo że wcale nie przychodzim, to panowie majstrowie mówią: Do was to nie należy, my za to odpowiemy. Żal mi było szczerze chłopaków, mówił dalej Felix, bo to uczciwe, pracowite, i wierzajcie mi, że jeśli nie dostaną świadectwa od nauczycieli, to nie ich wina, ale ich majstrów, a takich jest wielu w Warszawie. A wiecie dlaczego ci panowie majstrowie tak robią? Oto, że choćby najlepszy był chłopak i już dokładnie umiał rzemiosło, to jak nie dostanie świadectwa ze szkoły Rzemieślniczej, to go nie chcą wyzwolić na czeladnika, przez co nieraz rok i dwa jako chłopak musi darmo panu majstrowi pracować.

— To niepoczciwie, odrzekł Karol.

— Prawda, dodał Franek.

— Często, mówił dalej Felix, nasi dobrzy nauczyciele przekonawszy się, że chłopaki sprawiedliwie się tłumaczą, wykazują takich panów majstrów, których chłopacy nie przyszli do szkoły, do kary, to oni, by się od niej wykręcić, dają świadectwo, że chłopak był chory i każą mu tak powiedzieć, i niedość że sami źle robią, ale jeszcze młodzież do kłamstwa tym sposobem zmuszają.

Tak rozmawiając, przyszli przed Szkołę Niedzielno-Rzemieślniczą w Kazimierowskim pałacu, gdzie wszyscy trzej już do czwartego oddziału razem chodzili.

Dopiero było wpół do 7ej — zchodząca się z wszystkich stron młodzież rzemieślnicza witała się i wszystka prawie skupiła około Felixa.

— No koledzy! zawołał tenże, którzy też z nas otrzymają dziś bilety bezpłatne na Wystawę krajową sztuk pięknych?.. a jest tam dużo ładnych rzeczy do zobaczenia. Wiecie zapewne, iż Szkoły Rzemieślnicze otrzymują co niedziela po 20 biletów dla rozdania ich pomiędzy najlepiej uczącą się młodzież, jako nagrodę, a o taką nagrodę powinniśmy się wszyscy dobijać.

— Nie wiemy Felixie, kto z nas będzie tyle szczęśliwy, że bilet dostanie; o tobie nie wątpić!

— Wiecie co koledzy, mówił dalej Felix, kto dostanie bezpłatnie, to ma się rozumieć że pójdzie; aleby dobrze było, gdybyśmy zebrali się dziś wszyscy z 4 oddziału i zakupili sobie bilety, bo dziś to ich po 5 kop. dostanie, i zaraz po piątej po południu poszli.

— Zgoda — odpowiedzieli.

Po skończonej więc lekcyi o godzinie 5éj cały prawie 4 oddział uczniów szkoły Rzemieślniczej zebrał się około pałacu Mokronowskich na Krakowskiem-Przedmieściu; był między niemi i Felix, udarowany, jak to przewidzieli koledzy, bezpłatnym biletem wnijścia na wystawę, przybyli i z innych szkółek Rzemieślniczych i weszli razem na pierwsze piętro, gdzie wystawa obrazów jest umieszczona.

Po obejrzeniu obrazów historycznych, portretów, krajobrazów, medali, rzeźb, miniatur, Felix ciekawszy napotkał sprawozdanie o wystawie; zebrawszy więc w jedno kółko kolegów i widząc, że obcych osób jest niewiele, przeczytał takowe w głos, z którego to sprawozdania ważniejsze przytaczamy wyjątki:

„Zarząd Wystawy Krajowej Sztuk Pięknych w Warszawie, w ciągu czasu od d. 3 lipca 1858 do dnia 24 czerwca 1859 przyjął i umieścił na wystawie 271 sztuk dzieł artystycznych różnego rodzaju, a mianowicie:

1. Obrazów sztuk	201.
2. Medali	7.
3. Rzeźb	14.
4. Miniatur	5.
5. Akwarel	21.
6. Rysunków	2.
7. Litografij	4.
8. Projektów architektonicznych . .	17.
Razem jak wyżej sztuk	271.

Z tej liczby wystawiono do sprzedania:

Obrazów sztuk 121 za Rs. kop summę	14,202	„
Sprzedano . . 29 . .	1,576	50

W powyżej określonym przeciągu czasu odwiedziło wystawę:

Osób dorosłych za biletami po k. 15....	8,888
Dzieci „ $7\frac{1}{2}$...	260

Wpłynęło więc do kassy wystawy:

Za bilety piętnasto kopiejkowe	Rs.	1,333 k. 20
Za bilety $7\frac{1}{2}$ kopiejkowe	Rs.	19 k. 50
Razem wpłynęło za bilety wnijścia	Rs.	1,352 k. 70
Z procentów pobieranych od sprzedanych z wystawy dzieł, licząc po pięć od sta, od summy rsr. 1576 k. 50	„	78 k. $82\frac{1}{2}$
Nakoniec złożyli dobrowolnie PP. artyści za bilety wnijścia niepłatne roczne dla nich	Rs.	92
Zatem było całego wpływu	Rs.	1,523 k. $52\frac{1}{2}$

Z tego funduszu opłacono:

Lokal roczny wystawy	Rs.	600 k.	„
Pierwsze urządzenie lokalu	„	249	„ 47
Opał, światło i porządki .	„	149	„ $43\frac{1}{2}$
Służba roczna . . .	„	180	„ 50
Potrzeby kancellaryjne i druki	„	21	„ 47
Tantjema służącemu od biletów wnijścia	„	13	„ 53
Transport obrazów artystów tutejszych, bawiących za granicą jako forszus . . .	„	80	„ 87
Razem było wydatków	Rs.	1,295	k. $27\frac{1}{2}$

Pozostało więc w kassie wystawy jako remanent do użycia na wydatki roku bieżącego i przyszłego Rs. 228 kop. 25.

Ogólny pogląd na powyższe cyfry do następujących zniewala objaśnień:

Chociaż zasady Wystawy Krajowej dozwalają przyjmować prace artystów zagranicznych, a nawet zarząd był upoważnionym opłacać z funduszów Wystawy koszta transportu dzieł panów artystów zapraszanych do przesyłania prac swoich na tutejszą wystawę, ze względu na zbyt skromne wpływy, tego dotąd nie uczynił; dla tej więc przyczyny liczba nadesłanych dzieł zagranicznych była nader małą. Z tem większą przeto pociechą i nadzieją wyznać możemy, że prawie sami artyści warszawscy wymienioną liczbę prac artystycznych Wystawie Krajowej dostarczyli. Dzieła ich w coraz znaczniejszej przybywały liczbie, co niemały stanowi dowód, że sama możność łatwiejszego wystawienia takowych jest znaczną pobudką do pracy. Stosunek liczby sprzedanych dzieł do liczby wystawionych na sprzedaż jest wprawdzie uderzająco małym; mamy jednakowoż nadzieję, dziś już na pewnej opartą podstawie, że stosunek powyższy znacznie zmienionym zostanie“.

Młodzież Rzemieślnicza z uwagą słuchała sprawozdania Zarządu Wystawy Krajowej Sztuk Pięknych i mówiła między sobą, jak byto było dobrze, oraz jakąby tobyło nauką i zachętą dla młodzieży rzemieślniczej, gdyby i dla wyrobów rzemieślniczych takową nieustającą wystawę urządzić można.

Przeczucie śmierci.

Sławny w dziejach Polski Leon Sapieha, gościnnie i wspaniale podejmował posłów weneckich. Przy hojnej i bogato zastawnej uczcie opowiadał wesoło przygody liczne i dzieła rycerskie, radość i niedolę, oddane przysługi krajowi i to, co jeszcze zamyślał uczynić. Nagle osmutniał przy końcu uczty; rzekł więc zcicha do syna swego: Czas już na mnie przychodzi, zajmij synu miejsce moje gospodarza, częstuj, jakem ja zaczął i spełnij życzenia moje. Powolnym krokiem odszedł do swej komnaty, ukląkł przed obrazem ukrzyżowanego Chrystusa; a po krótkiej, gorącej modlitwie nie powstawszy z ziemi, cicho i spokojnie skonał.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 31 sierpnia (12 września) 1859 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański*.